

Róża.

Kroniki gazet wykazują codziennie, że ludzka słabość przechodzi wszelkie granice prawdopodobieństwa; zdarzają się wszelako fakty, które wymykają się czujności reporterów i których żadna gazeta nigdy nie zdoła zarejestrować: nieznanie i straszne dzieje przeżyć wewnętrznych, tragedje, co lamia serca ich bohaterów.

Do tej kategorii należy dramat mego przyjaciela Ferdynanda Bo. Inżynier okrętowy w Genui cieszy się wielkiem poważaniem nie tylko dzięki swym kwalifikacjom zawodowym, ale także dzięki swemu charakterowi, swej energii i męskiej sile woli. I właśnie ten zdobywca, ten zwycięzca dał się porwać do zwierzeń, które odsłoniły mi w nim człowieka, godnego największej liłości. Oto, co mi opowiedział:

Małgorzata weszła do wagonu na stacji Pistoja. Nie potrafię opisać ci wzruszenia, jakie mną ogarnęło, gdy ujrzałem ją tak niespodzianie po upływie trzech lat, gdy opuściła mój dom, ani też myśli, które skotłowały się w mojej głowie.

Moja żona nie zmieniła się wcale; być może, że stała się, o ile to jest możliwe, jeszcze piękniejsza i bardziej fascynująca. Z właściwą sobie swobodą zajęła miejsce obok mnie, osnuwając mnie oblukiem delikatnych, ledwo dających się odczuć perfum, które mnie przyprawiły o zawrót głowy. Złożyła na siatce swą małą walizkę, zdjęła kapelusz, usiadła, zapaliła papierosa i poczęła go szybko wypalać. Dopiero wtedy poznała mnie.

O, nie sądź, że się zmieszala! Uśmiechnęła się, strząsnęła popiół swymi długimi palcami i jakgdyby nic, ale to zupełnie nic, nie miała sobie do wyrzucenia, przywitała mnie skinieniem głowy. Kochałem ją do szaleństwa, porzuciła mnie dla innego; ale ja nie potrafiłem nigdy wyrwać z serca wspomnienia o niej. Więc jej odpowiedziałem niewyraźnym słowem, ale w moim głosie była niepewność, jakieś bolesne załamanie, które nie uszły uwadze Małgorzaty. A umiała z tego skorzystać! Odpięła różę od swego gorsu i ofiarowała mi ją.

— Wsiądę wkrótce. Przyjmij ją. Te różę nazywają się pompejańskie.

— Wsiądziesz?...

Taką była moja odpowiedź.

Umysł mój był osnuty mgłą, która rozpraszała się chwilami, pozwalając mi zobaczyć piękną twarz Małgorzaty.

Papieros już był wypalony. Moja żona przesunęła przede mną swe nagie ramię i wyrzuciła niedopalek za okno.

— Czy dużo teraz podróżujesz? — Spytała mnie z zainteresowaniem. — Co za życie prowadzisz! Ja nie cierpię kolei. Nudzę się w pociągu i nigdy nie mogę zasnąć.

Zawsze ta sama! Małgorzata lekceważyła sobie stale wszystko to, w czym ja znajdowałem upodobanie i co należało do

konieczności mojego życia: budowle okrętowe i białe wino, podróże i muzykę, Genuę i porty morskie, kwiaty... te same kwiaty, które przed chwilą mi ofiarowała.

Róża leżała pomiędzy nami na kanapce i jej ostry zapach napelniał cały wagon. Byłem sam z Małgorzatą. Mógłbym ją był zabić, a tymczasem czułem ochotę przycisnąć ją do siebie, odzyskać ją znowu, zabrać sobie, przerywając moją podróż, lub kontynuując ją, byle tylko nie pozwolić jej wymknąć mi się po raz drugi. A natomiast... to samo, nieokreślone uczucie co wtedy, gdy Małgorzata uciekla i przez całe trzy lata później powstrzymywało mnie od wszelkiego mocnego czynu, i które skłoniło mnie do daremnego poniżenia, do błagania mej żony, aby powróciła do mnie, to samo uczucie, którem pogardzam, ale od którego nie potrafię się nigdy otrząsnąć i w tym momencie przykuło mnie do mego losu. Wyratowało mnie, prawda, od innego poniżenia, ale powstrzymywało od gestu, który, chociaż częściowo wykreśliłby moje poprzednie tchórzostwo.

Gdy dojeżdżaliśmy do Rifredi, Małgorzata ukarminowała sobie wargi, upudrowała się, włożyła kapelusz, a ja sam złożyłem jej walizkę w pobliżu okna, gotów podać ją gdy wysiądzie. Gdy pociąg wtoczył się na stację, zabrała swe rękawiczki i różę, którą mi ofiarowała.

Czy to było roztargnienie? Czy zrobiła to z rozmysłem?

W każdym razie ja nie umiałem znaleźć ani jednego słowa; a Małgorzata wyciągała już ramiona po swoją walizkę. Pochwyliła ją jedną ręką, drugą zaś, w której trzymała różę, wymachiwała w uprzejmem pozdrowieniu.

— Szczęśliwej podróży! — wołała, odchodząc.

Oczekiwano ją. Jakiś mężczyzna pośpieszył jej naprzeciw, zarzucił sobie ręce na szyję, Małgorzata podała mu swoje usta, wsadziła mu różę do kłapy marynarki; pociąg ruszył...

Nie odrywałem od nich wzroku, aż pociąg skręcił w bok, potem padłem na siedzenie oszalały z bólu, szarpany zazdrością, wściekły.

Ale stchórzyłem jeszcze i tym razem! Pogardzam sobą! Rozumiem doskonale, iż postąpiłem nikczemnie; wszelako gdy odwróciwszy się, dostrzegłem platek róży, co pozostał na kanapce wagonu... pochwyliłem go, złożyłem na me wargi i do samej Florencji napawałem się jego wonią; zdawało mi się, iż na mych ustach spoczywają usta Małgorzaty...

Zachowałem ten platek. Oto on. Spójrz na niego.

Nieszczęsny wyciągnął z kieszeni marynarki małą książeczkę, otworzył ją i naszym oczom ukazał się platek róży, teraz już zeschły, co zostawił krwawą plamę na białej kartce.



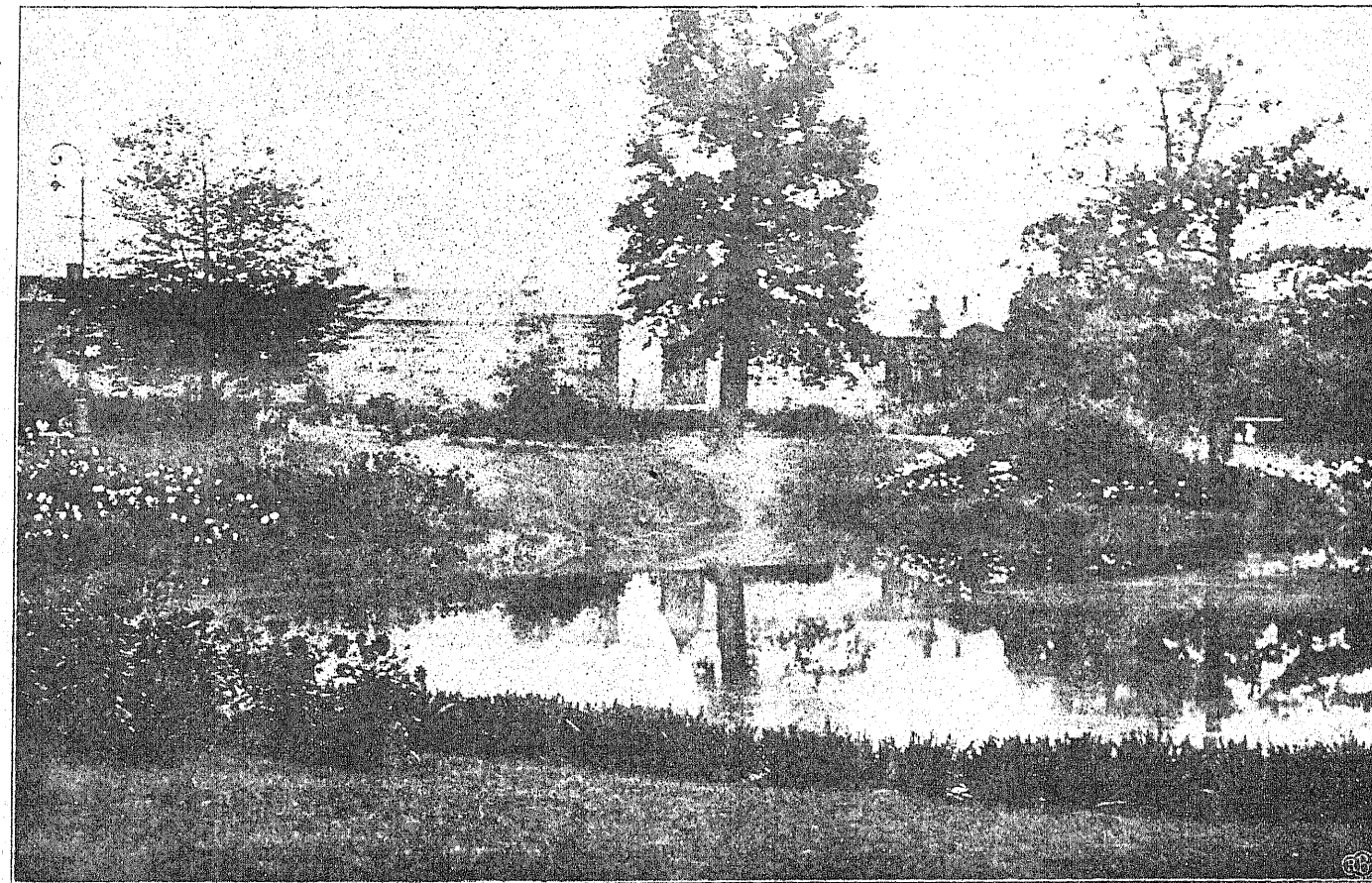
DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok V.

Niedziela, 15-go lipca 1928 roku.

№ 29.

Lato w parkach łódzkich.



Nieliczne w Łodzi parki, będące jedynym miejscem wypoczynku dla mieszkańców pochodzących ze sfer niezamożnych, przybrane w szkarłatne szaty lata, zachwycają swym urokiem i czarują prostotą; mimo, iż wokół nich piętrzą się olbrzymie gmachy, wystrzelają w przestworza ponure i stale dymiące kominy fabryk — kamienne pomniki postępu. Do tych najwięcej jeszcze posiadających prostoty parków należy widziany powyżej fragment parku „Źródlika”, najstarszego ze wszystkich ogrodów Łodzi.



Łączyńska-Szymanowska.



„Portret p. K.“.

TEATRALJA.

Zapowiedzi i obietnice. — Echa kongresu teatralnego w Paryżu. — „Sztuka a Państwo“ Drobiazgi.

Nowomianowany kierownik teatrów miejskich w Warszawie, ceniony krytyk, dr. Wł. Zawistowski, w wywiadzie z przedstawicielami prasy naszkicował program repertuarowy tych teatrów w sezonie przyszłym. Teatr Narodowy, z obowiązku, zwróci główną uwagę na polski repertuar monumentalny, wystawiając „Podziemia Weneckie“ — Krasńskiego, „Fantazego“ lub „Ks. Marka“ — Słowackiego, „Lelewela“ — Wyspiańskiego. Po za tem mają być wystawione komedje Fredry, Blizińskiego, Kraszewskiego oraz — solennie uczczona 100 rocznica śmierci Wojciecha Bogusławskiego. Z nowszych utworów projektowane jest wystawienie „Królewskiego Jedynaka“ — Rydla, „Człowieka z budki suflera“ — Rittnera i jednej ze sztuk Rostworowskiego. Przechodząc do literatury zagranicznej, zapowiada dr. Zawistowski wystawienie następujących dzieł klasycznych: „Stracone zachody miłości“ — Szekspira, „Życie jest snem“ — Calderona, „Don Carlosa“ — Schillera oraz „Ożenek“ i „Gracze“ — Gogola. Z nowej literatury scenicznej ujrzą światło kinkietów dzieła Chestertona i Conrada („Jutro“), Claudella lub Vildrac'a, Morselli'ego („Glaukos“), i Kaisera („Obywatele z Calais“). W październiku dyrekcja Teatru Narodowego zamierza uruchomić Scenę Kameralną, poświęconą wybitnie nowoczesnym utworom polskim i obcym. Teatr Letni pozostanie przy repertuarze komediowym, poczynione jednak będą starania o podniesienie poziomu literackiego teatru. Zmian personalnych prawie nie będzie; zaangażowani zostali na stałe p. Jadwiga Smarska oraz młody, utalentowany reżyser W. Kadulski. Tyle dr. Zawistowski.

Niemniej obiecująco odświeża perspektywę dr. A. Szyfman, dyrektor teatrów Polskiego i Małego. Wyliczamy więc w niejakiem skrócie utwory, projektowane do wystawienia: Z twórczości polskiej: „Lcgjon“ — Wyspiańskiego, „Kleopatra“ — Norwida (niegrana dotąd w Polsce), „Odprawa posłów greckich“ — Kochanowskiego, „Krakowiacy i Górale“ (na rynku staromiejskim); Rostworowskiego — dwie sztuki, utwory Morstina, Perzyńskiego, Grzymały-Siedleckiego, Kiedrzyńskiego etc. Z twórczości obcej: „Pigmaljon“ — Shawa, sztuki Maughama i Jérôme-Jérôme'a, „Leopold, le bien-aimé“ — Sarmenta, „Vient de paraître“ — Bourdeta; sztuki Dostojewskiego („Bracia Karamazow“), Haska, Goetza, „Molnara i in. Poza wymienionymi utworami, dyr. Szyfman posiada podobno w zanadrzu jeszcze pewne niespodzianki teatralne. W królestwie szyfmanowskim zmiany personalne mają być również niewielkie; z ubolewaniem wspomina przy tej okazji o stracie, jaką poniesie Łódź przez zaangażowanie do Warszawy utalentowanego i sympatycznego Kazimierza Szuberta. Zdradził nas, niewdzięczny!..

Jak donoszą z Bydgoszczy, w tamtejszym teatrze miejskim odbył się szereg gościnnych występów Stefana Jaracza w popularnej sztuce Langego „Samson i Dalila“. Zbyteczne dodawać, że Jaracz w roli Krumbacha dał świetne dzieło aktorskiego kun-



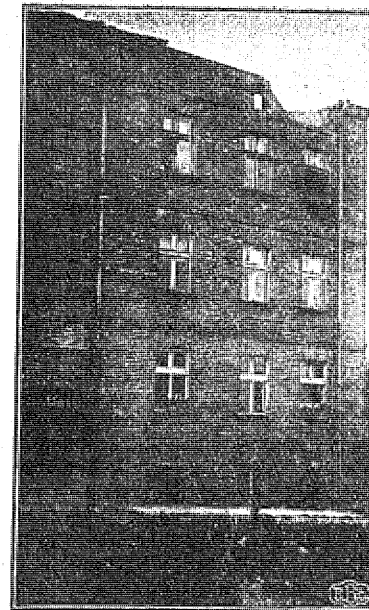
P. Kazimierz Szubert, ulubieniec Łodzi, artysta Teatru Miejskiego, opuszcza Łódź w końcu sezonu i przenosi się do Warszawy, zaangażowany w stolicy do teatrów Szyfmanowskich.

sztu, rzadko na scenie — zwłaszcza prowincjonalnej — spotykane. Doskonale sekundowała znana Łódzkiej publiczności ceniona artystka, p. Iza Kozłowska. Mniej przyjemną wiadomość otrzymujemy z Grodna, gdzie los stałego teatru polskiego znalazł się pod znakiem zapytania. Żydowska część rady miejskiej sprzeciwia się stałemu teatrowi, do którego miasto musi dopłacać, wysuwa natomiast koncepcję czasowego wydzierżawienia teatru przejeżdżającym zespółom. Wobec tego, że Żydzi w grodzieńskiej radzie miejskiej stanowią większość (17 na 33), zaś pomiędzy frakcjami pozostałymi niema w tej sprawie porozumienia, — istnieją poważne obawy co do możliwości dalszego trwania w Grodnie tak potrzebnego tam teatru polskiego.

Jeden z ostatnich wieczorów dyskusyjnych w warszawskim „Klubie Artystycznym“ poświęcony został zagadnieniu: „Sztuka a państwo“; referaty na temat stosunku państwa do teatru wygłosili Wł. Zawistowski i W. Horzym. W wywodach swoich, zasługujących na uwagę czynników powołanych, referenci podkreślili przede wszystkim: niedoceniaenie przez państwo sztuki teatralnej jako funkcji artystyczno-społecznej

oraz brak polityki państwowej w stosunku do teatru. Skutkiem tego niema na terenie Rzeczypospolitej ani jednego teatru państwowego, a na propagandowe znaczenie sztuki teatralnej państwo nie zwraca żadnej uwagi, mimo że stan polskiego teatru jest dziś taki, iż może on wytrzymać porównanie z każdym teatrem świata. Nie myśli się również o teatrze, jako potężnej dźwigni moralnej dla łatwo wynaradawiającej się polskiej emigracji (np. w Ameryce). W celu popchnięcia wszystkich tych spraw na właściwe tory niezbędna jest również pomoc rządu w zorganizowaniu takich instytucji któreby ułatwiały rozwój i pogłębianie się życia teatralnego w Polsce, a więc: katedry teatrologii przy Uniwersytecie Warszawskim, Muzeum Teatralnego, fachowego szkolnictwa i t. p. Są to postulaty najzupełniej słuszne, a realizację ich, jak to podniesiono w dyskusji poprzedzić powinno zastanowienie się czynników rządowych nad znanym naszym czytelnikom projektem p. Krywoszejeewa, będącym próbą rozwiązania całokształtu zagadnień, wynikających ze stosunku państwa do narodowego teatru i jego istotnych potrzeb.

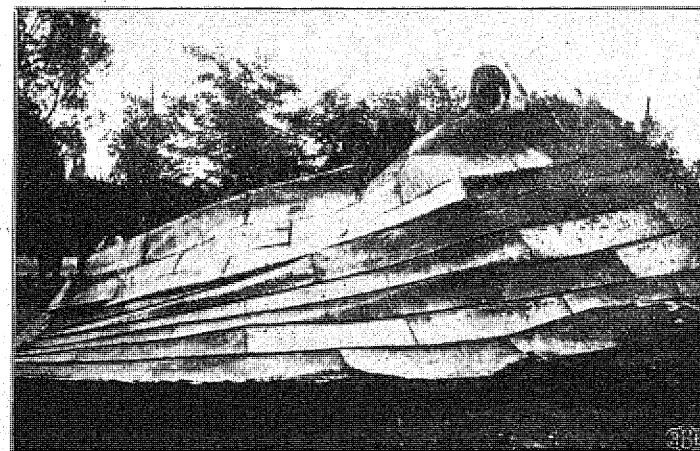
Delta.



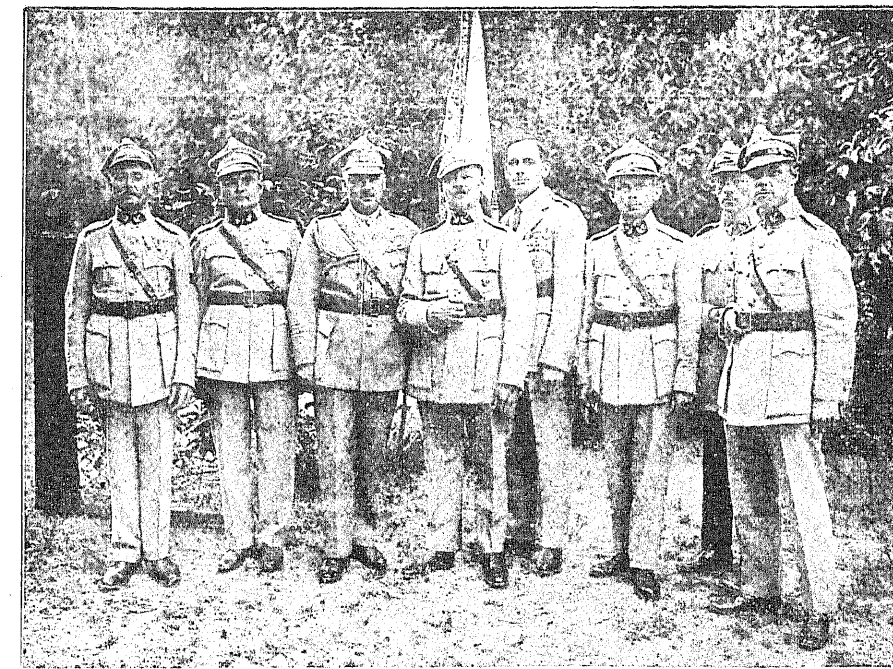
Niezwykły huragan, jaki nawiedził teren województwa łódzkiego, spowodował poważną klęskę w powiecie kaliskim. Powyżej dom w Kaliszu, z którego huragan zerwał dach i przerzucił go na posesję sąsiednią.



Gmach, będący siedzibą kurji biskupiej w Łodzi, przy ul. Ks. Skorupki, vis-a-vis katedry Stanisława Kostki, będący w fazie zewnętrznego uzupełnienia budowlanego.



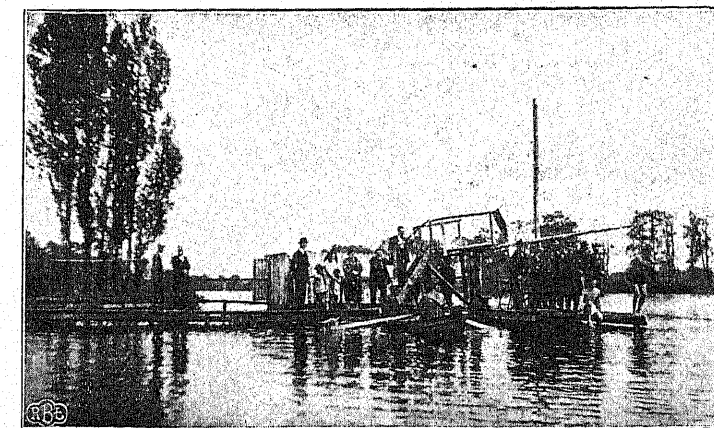
Zerwany siłą wichrów dach jednego z gmachów w Kaliszu i przerzucony na teren pobliskiej posesji.



Delegacja hallerczyków, która udała się z Łodzi do Francji na uroczystość wojskową poświęcenia pomnika ku czci bohaterów — żołnierzy armii polskiej, poległych w obronie Francji w krwawych bojach na polach Szampani, w okresie wielkiej wojny.



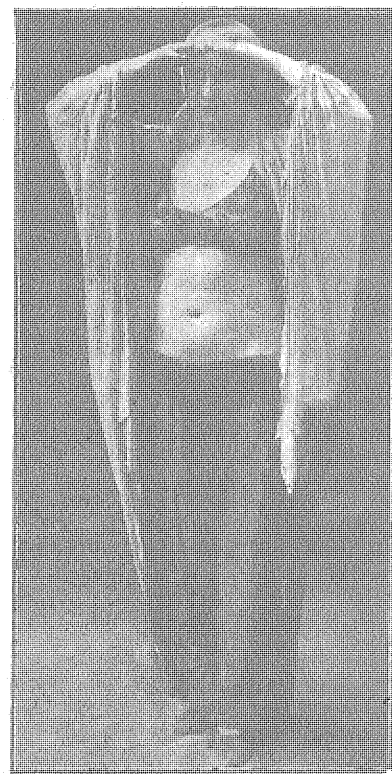
Wystawa prac Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej w Rudzie Pabjanickiej. Powyżej fragment wystawy bogato zaopatrzonej w prace młodzieży.



Zawody pływackie oficerów 10 dywizjonu w Rudzie Pabjanickiej.



Olive Borden, najbardziej urodziwa artystka amerykańska, w swym czasie była ozdobą rewii Ziegfielda w Nowym Yorku.



Urocza tancerka Selly, wykonawczyni tańców egzotycznych w kaba-recie paryskim „Palace”.



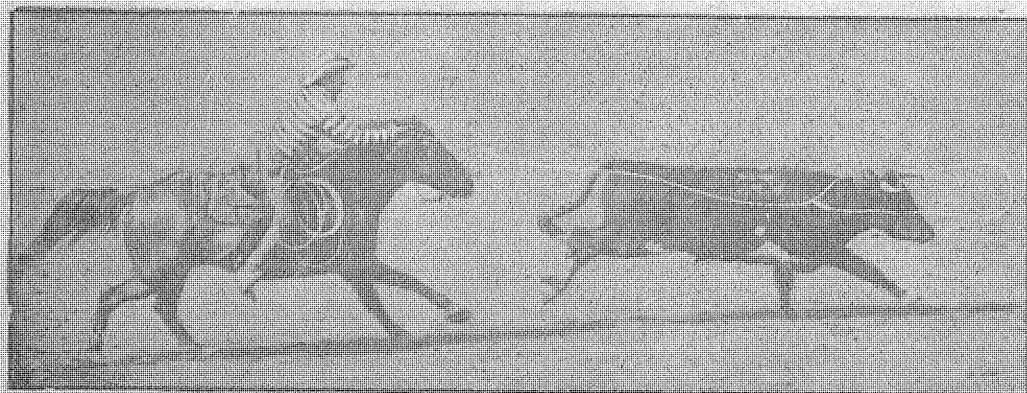
Nowoczesny Ursus



Członek zwa „Misericordia” w przepisowym stroju.



P. Karlinska, ozdoba najpopularniejszego teatrzyku warszawskiego „Morskie Oko”



Chwytnie rozjuszonego byka na lasso w Meksyku.



Świetna artystka filmowa Gloria Swanson, bezpieczna rywalka Poli Negri w filmie „Miłoszani”.



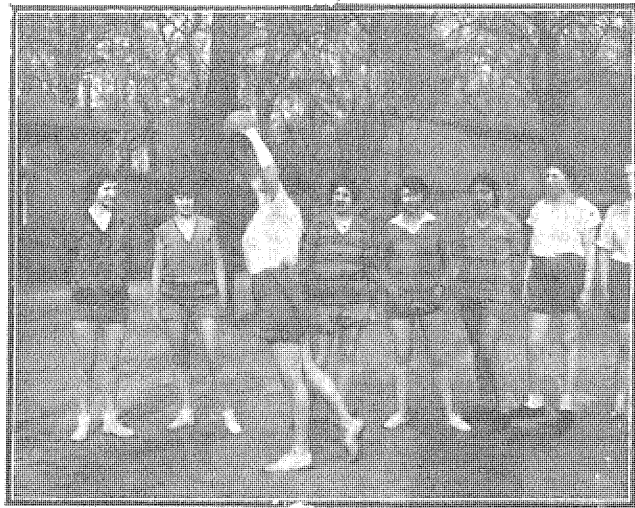
Kur na szczycie starożytnego zegara p. n. „Trzej Królowie w Strassburgu”.



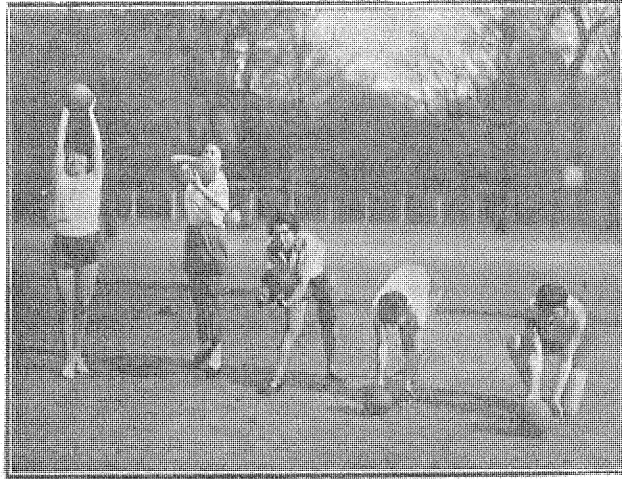
Fern Andra, jedna z najpiękniejszych artystek filmowych z Curt Renzel'em.



Rekordzistka Polski na dystansie długie Warecka—Rakoszanka z „Warszawianki”.



Codzienne ćwiczenia w P. I. W. F. w Warszawie. Nauka rzutu piłki do kosza.



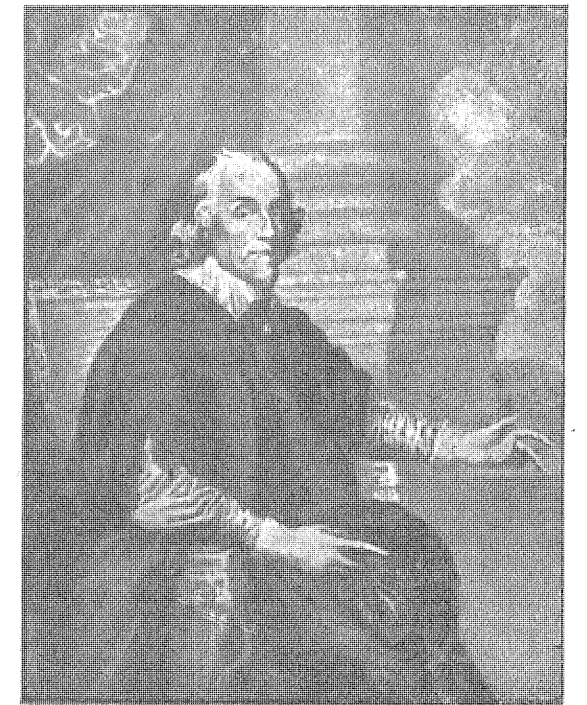
Nauka chwytu piłki.



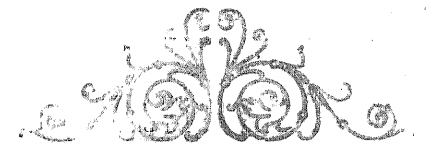
Rekordzistka Polski, Wieczorkiewiczówna (A. Z. S.) na finiszu



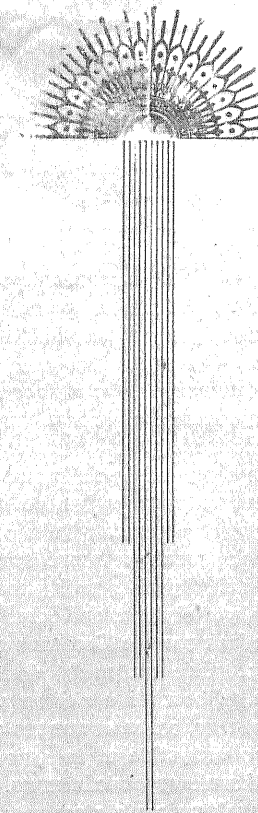
Artystka scen warszawskich, p. Skalska, w jednej ze swych ról.



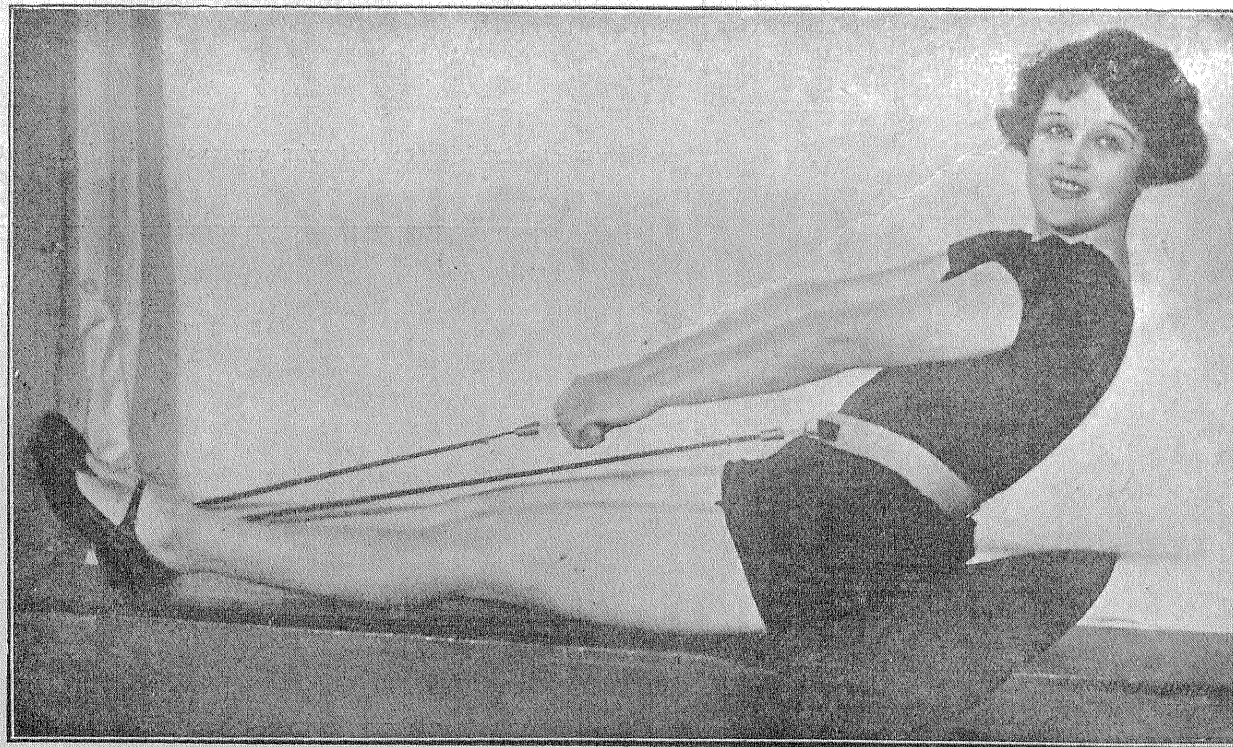
Portret Williama Harvey'a.



Jeden z przedstawicieli rodowej arystokracji plemienia ludożerców.



Uroczą piękność sjamska.



Maksimator — pomysłowy aparat do nauki wiosłowania. Powyżej moment zaprawy wiosłarskiej na aparacie ustawionym w pokoju.

Małżonek pełen względów.

Anna de Corannes stylizowała do jednego ze swych wielbicieli liścik, pełen zachęty i wzdraganie się jednocześnie:

— Proszę panią, czeka tam jakiś starszy pan w towarzystwie komornika.

— Cóż to znaczy, Juljo?

— To ten starzec polecił, bym go w ten właśnie sposób pani oznajmiła.

— Jak wygląda?

— Jakiś stary pan... jeden z wielu... Nie wiem nic bliższego... Zato on zdaje się dokładnie wiedzieć, czego żąda.

Zakłopotanie pokojówki wyprowadziło panią z równowagi.

— Powiedział, że stąd nie odejdzie, dopóki nie rozmówi się z panią.

— Co słyszę?

— Dodał nawet, że jest do tego uprawniony.

Anna de Corannes parsknęła śmiechem, na myśl o spotkaniu ze swym mężem.

— Powiedz tym panom, że służę im za chwilę. Ale prawda, dokąd ich poprosiłaś?

— Do palarni, proszę panią.

Anna porwała liścik, zaczęty dla rozrywki. Wizyta temu w pełni zadość uczyni.

— Pan zjawia się u mnie w towarzystwie komornika, panie de Corannes?

— Nieinaczej. On to pani wyjaśni: u pani, to znaczy u mnie, markizo... Po pierwsze, pozwoli pani, że jej złożę swą powinność.

— Powinność pańska nie przekracza ram naszej umowy.

— Która jest nieobyczajna, jak się okazuje. Podpisałem ją, nie mając o tem pojęcia. Starzeję się. Mam zamiar chędogo zakończyć dni swoje, przeżyte, wyznając to, poza nawiasem rozsądku. Jesteśmy sobie poślubieni, pani moja.

— Jakiej sumy żąda pan zdolnej zagłuszyć wątpliwości jego sumienia?

— Przekupić ich nie można, są bowiem uzasadnione o tyle, o ile nieuzasadnioną jest obelga, którą raczyła mi pani wyrządzić i z której pan Justyn Marja Chamour zechce łaskawie nie zrobić użytku.

— Więc pan mówi poważnie?

— Najzupełniej, szanowna pani. Pragnę naszego zbliżenia bardziej niż czegokolwiek w życiu, zanim się z nim rozstanę.

Pan Chamour miał wrażenie, że pani de Corannes prosi go o wyjaśnienie. Komornik zatem wygłosił:

— Prawo przewiduje współzycie małżonków.

Wzruszył ramionami, dając tem do zrozumienia, iż nie on prawa układał.

— A jeżeli nie zezwolę na pobyt męża w moim domu?

— Pan Chamour stwierdził to. A ja pozostanę.

— Powietrze paryskie szkodliwe jest dla pana.

— Jak i każde inne dla moich płuc zmurszałych. Zechce pani nie troszczyć się o nie, ani o resztę.

— Muszę pana uprzedzić, że zostając, nie otrzyma pan ani grosza od mego notariusza.

— Spodziewałem się tego. Czemże jest pieniądz w moich latach!

— Żywić pana nie jest też bynajmniej mym zamiarem!

— Przybyłem umrzeć pod małżeńskim dachem. Im wcześniej tem lepiej.

Zdawał się napawać temi słowami. Po cierał ręce dodając:

— Dziś właśnie, piękna markizo, biorę ósmy krzyżyk na swe barki!

Mężczyzna, przyodziany skromnie, nosił się wyniosłe, czego pani de Corannes nie zdążyła dotąd zauważyć, a czemu się nie sprzeniewierzył, przyjmując mieszkanie pod strychem, w izdebce służbowej, gdzie dotychczas przechowywano kufry. Dziękując komornikowi za pomoc okazaną, prosił swą żonę, by natęstwo jego nie zmąciło w niczem dotychczasowego trybu jej życia.

— Żaliż mogłam spodziewać się tego! westchnęła Anna de Corannes.

—Niespodzianki niezawsze są okrasą życia, współczuł jej starzec.

Krokiem miarowym, udał się na górę do swego pokoju, prowadzony przez Julję, która podług rozkazu otrzymanego w jego obecności, wydzieliła mu bieliznę tualetową i pościelową z zapasów służbowych. Pan de Corannes pochwalił to zarządzenie krótkim skinieniem głowy. Na pytanie swej żony objaśnił, że, wyzbyty ze wszystkiego, przybył nieobciążony bagażem.

— Jaktóż nawet bez koszuli? nawet bez chusteczki?

— Ach! pani moja, nawet bez szczęśliwego wspomnienia. A to jest najstraszniejsze ogołocenie.

Starzec zapomniał o swej odpowiedzi. Długo w noc jeszcze nękała ona piękną Annę, wabiącą przecież: „moja sfora“ rój wielbicieli, z których grona zawsze kilku jednocześnie zachęcała, by nie dopuścić do łaski żadnego.

A ona, czyż posiadała wspomnienie prawdziwie szczęśliwe? Od czasu owego wykradzenia — przez „panicza z zamku“, jak mówiono we wsi — gdy była świeżą, siedemnastoletnią dziewczyną, chępiącą się swą urodą, którą uważała za broń niezawodną w zniewoleniu fortuny, podporządkowała wszystkie swe czyny zdobyciu bogactwa. Pośrednik pewien zetknął ją z tym podupadłym arystokratą, gotowym, za rękojmię spokojnego dożywocia, przefrymarczyć spadek po swych przodkach, wysokiej próby nazwisko rodowe. Nabyta etykieta społeczna nie wyprowadziła jednak pani de Corannes z dawnego otoczenia, gdzie nie miały dostępu kobiety uczciwe. Obecność u niej pana de Corannes zbiedzzonego, rozczarowanego rozjątrzyła na nowo wszystkie te żale, pograżając ją w smutku niewypowiedzianym.

Przez cały ranek walczyła z pragnieniem dowiedzenia się, co porabia jej małżonek. Śniadała bez apetytu, wyobrażając go sobie tam na górze, w graciarni, pozbawionego strawy. Julja przyznała się, że przez miłosierdzie zaniesiono mu posiłek. Dla zasady

pani domu złażała ją zato przekroczenie jej rozkazów. Natychmiast jednak zezwoliła, by tak postępowano i nadal. Wróciwszy z przechadzki, wezwała zawiadomić pana de Corannes, że prosi go do stołu.

Zjawił się w ubraniu dnia poprzedniego, rędznem, ale starannie wyszczotkowanym. Przy stole dowiódł swej znajomości win pięknych obyczajów.

Piękna Anna postanowiła, że zamieszka w apartamencie, gdzie będzie odtąd miał swe stałe nakrycie.

— Będzie to na czas zaledwie krótki markizo, oto czemu przyjmuję.

Nieco później, unosząc zlekką filiżankę czarnej kawy, w tej palarni, gdzie, wraz z towarzyszącym mu komornikiem, oczekiwał na posłuchanie u swej żony, starzec zmienił ton — spoważniały nagle, sterana postać o-promieniona nimbem dostojności — by wytłumaczyć swe przybycie „co najmniej niewłaściwe“:

— Zawdzięczam pani kilka lat spokoju; jedyne lata którem przeżył godnie. Czuję zbliżający się koniec. Przybyłem umrzeć u pani. Nie mówię już: u nas, pani moja. To *distinguo* ma walor ekskuzy, dla okazania pani swej wdzięczności, nie rozporządzam innymi środkami, poza faktem mego zgonu u jej boku. Dostarczy on pani sposobności, przez arcychrześcijańskie złożenie mych szczątków na wieczny spoczynek, następnie przez ciężką żalobę, którą pani przywdzieje, z wielką dla jej wdzięków korzyścią, przypomnienia światu o związkach ściśle prawowitych, które ją uczyniły markizą de Corannes, z tego samego tytułu, co i moje, ongiś prababki.

Przerwał na chwilę, poczem dokończył:

— To wynagrodzi nieco, jak sądzę, drobne niewygody, związane z goszczeniem u siebie, w ciągu kilku godzin, trupa i ludzi, których śmierć przyciąga.

— Ale pan przecież nie umrze!

— Tak jest, pani moja, dobiegam kresu. Jeśli wolno sądzić z pozorów, zdołałem ją nieco wzruszyć. Żaliż skorzystam z tego?

— Niech pan mówi!

— Będę prosił o nową bieliznę i ubranie wieczorowe, aby nie uczynić pani despektem w oczach przyjaciół, którym wolno będzie oddać pokłon mym zwłokom.

— Jak winnam to wszystko rozumieć?

— Dosłownie, pani moja.

— Uda się pan zatem do krawca...

— O! znajdę przecież frak okolicznościowy. Czas mnie nagli. Krawiec napocząłby moją wieczność dla wykończenia mej garderoby.

— Jest pan wierutnym oryginałem!

— Byłem nim. Otom prawie jak wszyscy inni. Upodobnie się do nich za tydzień najdalej. A pani zostanie, markizo, wdowa pełną czaru!

Pan de Corannes dotrzymał słowa, ze zwłoką dwutygodniową, zostawiając piękną Annę na łup smutnym rozważaniom, że współzycie z tym mężem *in partibus* nie byłoby najmniej poważną przygodą jej żywota.

Charles Henry Hirsch.



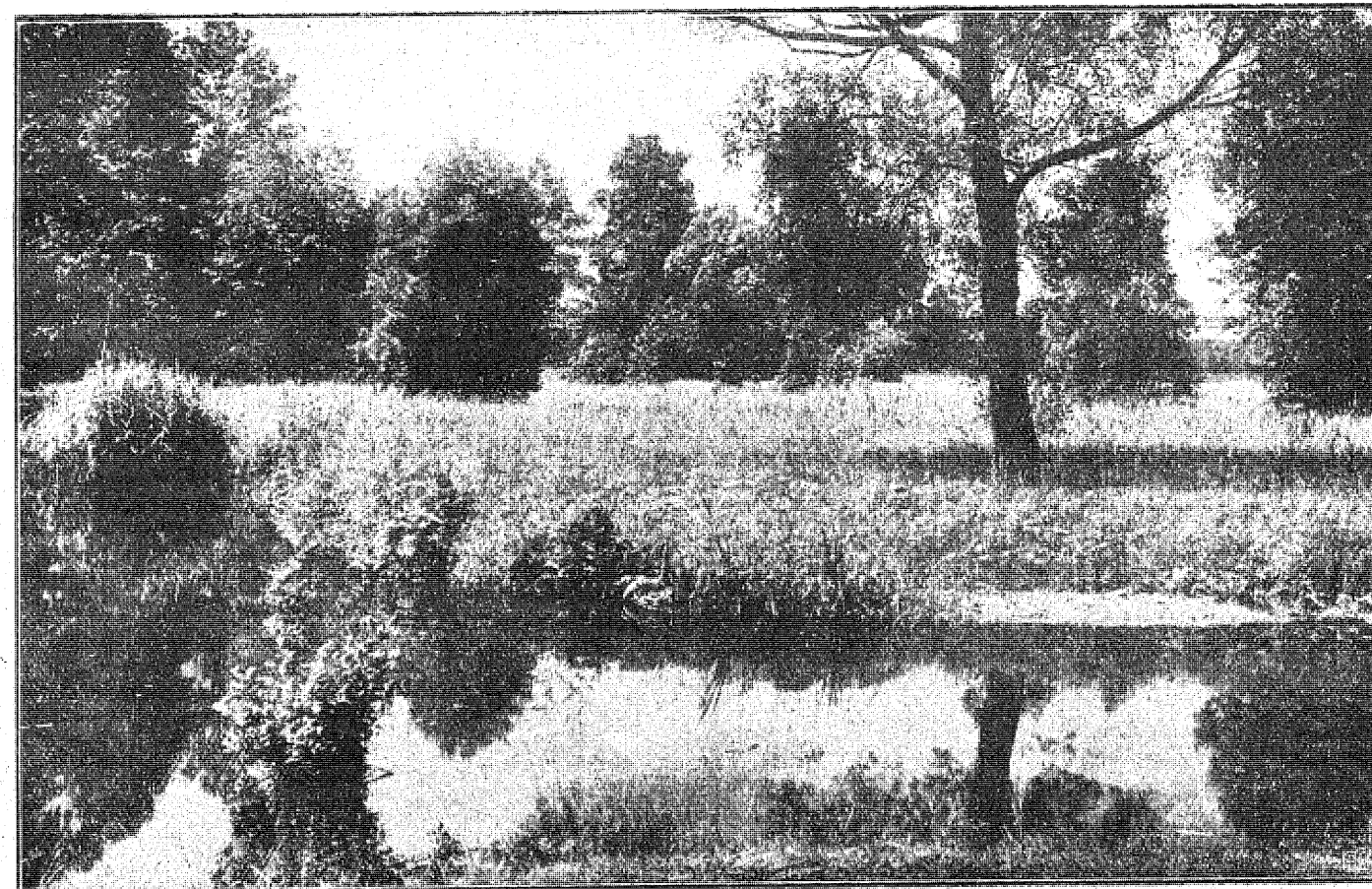
DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok V.

Niedziela, 22-go lipca 1928 roku.

Nr 30.

Łódzkie „świątynie dumania“.



Łódź, miasto kominów, posiada również swego rodzaju urocze zakątki. Znaleźć je nie trudno w parkach miejskich. Jeden z takich zakątków, będący „świątynią dumania“ łódzkich „Telimen“, posiada park miejski im. Króla Józefa Poniańskiego przy ul. Żeromskiego, jak to przedstawia nasza fotografia parku.